

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

*VER SACRUM\**  
*POEMAT MOJEJ MŁODOŚCI*

XV.

Nie uprzedzając o swym wyjeździe nikogo, nie złożwszy znajomym pożegnalnych wizyt, prawie ukradkiem wymknąłem się do Zakopanego. Pozostało mi jeszcze dosyć pieniędzy, aby zagrzebać się i umrzeć tam w ukryciu. Byłem przekonany, że śmierć moja jest bliska. Dręczyła mnie odraza do nikczemności, której na sobie doświadczyłem. Niby krew, co uchodziła z moich płuc, była moja tęsknota. Zdawało się mi, że niebo młodości mojej nie wyrzy już nigdy z beznadziejnych obłoków melancholii. Było w tym przewrażliwienie, ale nie było przesady. Nie żądy życia, ani też trwodze przed śmiercią, lecz tylko swej dumie i twardej swej woli zawdzięczam, że nie poszukałem ukojenia w samobójstwie, jak tylu innych z mojego pokolenia.

Zakopane ówczesne bardzo niewiele miało podobieństwa do Zakopanego dzisiejszego. Po Goszczyńskim<sup>1</sup> i kilku przyrodnikach niedawno zostało ono

---

\* ver sacrum – (łac.) dosł. poświęcone (płody) wiosny; poświęcona wiosna. W okresach niebezpieczeństwa albo niedostatku w starożytnej Italii płody ludzkie i zwierzęce danej wiosny poświęcano któremuś bogu, zazwyczaj Jowiszowi; zwierzęta składano w ofierze, a ludzi, po osiągnięciu 20. roku życia zmuszano do emigracji.

<sup>1</sup> Seweryn Goszczyński (1801-1876), poeta; 1821-1830 organizator tajnych związków młodzieży na Ukrainie; uczestnik powstania listopadowego (brał udział w ataku na Belweder). W 1832 roku przybył na Podhale i mieszkał w Łopusznej u Leona Tetmajera. W latach 1838-1872 przebywał na emigracji we Francji. W 1872 roku osiadł we Lwowie. Zaliczany do ukraińskiej szkoły poetów; autor powieści poetyckich z dziejów powstania kozackiego przeciw szlachcie 1768 roku. *Zamek kaniowski* (1828), liryków rewolucyjnych (tzw. humańskich, m.in. *Uczta zemsty*) i powstańczych (w zbiorze *Pobudka* 1831). Wprowadził do literatury polskiej

ponownie odkryte przez Chałubińskiego<sup>2</sup> i Matlakowskiego<sup>3</sup>. W „Kolibie”, w willi „Pod Jedłami”, w „Zofjówce” dopiero poczynają się realizować witkiewiczowskie pomysły o stylu podhalańskim. Po drogach, co jeszcze nie były ulicami, z rzadka snuły się najczęściej chore przybłędy z równin, zwane przez górali „ceprami”. One to mocą swego entuzjazmu starały się stworzyć z pierwotnej i ubogiej wsi podhalańskiej nie tylko uzdrowisko, ale także ośrodek duchowy przyszej niepodległej Polski. Może nigdzie indziej nie było tyle szczerzej i gorącej polskości. Ten duch niepodległy nie uchodził uwagi przenikliwszych urzędników wiedeńskich, którzy zaczęli mówić z przekąsem o S t a a t u n d R e p u b l i k Z a k o p a n e<sup>4</sup>.

Z tych samych źródeł poczęty, bujnie rozwijał się regionalizm. Gdzie powiała czarna peleryna witkiewiczowska, tam zaczynały się istne cuda. Z niesłychaną, aż do przesady posuwaną żarliwością poczęto badać drewniane budownictwo podhalańskie. Dopatrywano się genialności w zdobnictwie góralskim. Gromadzono starodawne pasy, nabijane świecidłami, malowidła na szkle, drobiazgi mosiężne i srebrne. Zachwycano się parzenicami, wzorzyście wyszywanymi cuchami, cyfrowanymi portkami i muszelkami na kapeluszach. Śmigli i zgrabni zbójnicy tatrzańscy jęli urastać do wielkości homeryckich herojów. Śmigłe i ładne góraleczki zaczęły opiewać poezja.

Była to może jedyna chwila, kiedy poezja miała przewagę nad interesem. Gorszono się pomysłami odarcia tego podtatrzańskiego ustronia z jego pierwotnego piękna. Karcono surowo tych, co ośmielali się marzyć o kolejce na Świnicę<sup>5</sup>. Nie chciano nic uronić z dzikiego uroku skalistego skrawka pol-

---

tematykę i folklor góralski (poemat *Sobótka* – 1834, *Dziennik podróży do Tatrów* – 1832, wyd. 1853).

<sup>2</sup> Tytus Chałubiński (1820-1889), lekarz, botanik, taternik. Od 1873 systematycznie gościł w Zakopanem. Pomagał góralom podczas epidemii cholery. Przyczynił się do nadania Zakopanemu statusu uzdrowiska oraz rozpropagowania go w kręgach inteligencji i twórców. Wraz z Heleną Modrzejewską i ks. Stolarczykiem założył Szkołę Koronkarską; utworzył także Towarzystwo Zaliczkowe. Prowadził badania botaniczne, zajmował się etnografią.

<sup>3</sup> Władysław Matlakowski (1850-1895), lekarz, literat, tłumacz z angielskiego, etnolog. Autor prac *Budownictwo ludowe na Podhalu* (1892), *Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu* (1901) – najbogatszego źródła wiadomości o kulturze Podhala; kilku rozpraw z zakresu chirurgii oraz krytycznego wydania *Hamleta* W. Szekspira (1894) w przekładzie własnym; współzałożyciel czasopisma etnograficznego „Wisła”.

<sup>4</sup> Staat und Republik Zakopane – Miasto i Państwo Zakopane. Termin *państwo* często występuje w historii Tatr i Podtatrza jako określenie wielkich posiadłości ziemskich (państwo niedzickie, państwo Szaflary, państwo Zakopane).

<sup>5</sup> Twórcą projektu kolejki na Świnicę (gdzie powstać miał wielki kamieniołom) był inż. Walerian Dzieślewski.

skiej ziemi, gdzie włodarzyli po piastowsku gazdowie tacy, jak honorny Stanisław Roj<sup>6</sup>, co umieli po mistrzowsku ciosać budowne płazy, ale także z owczego mleka wytwarzać oszczyпки, co na chudych swych rolach siali owiesek i sadzili grule.

Górale rośli w dumę. Władek Orkan, zwłaszcza gdy sobie podpił, stawał się imperialistą. Dość nieokreślone granice Podhala przesuwiał aż pod Kraków. Ba, gotów był dla swych braci górali zdobyć to królewskie miasto i na znak swego tryumfu wywiesić na Wawelu, niby chorągiew, cyfrowane portki. Tak przynajmniej naigrawano się wśród przyjaciół z jego zaborczych pomysłów.

Taternictwo, jak nazywano szlachetną sztukę wałęsania się po Tatrach, jeszcze nie zniżyło się do poziomu sportu, lecz było niemal świętym obrzędem. Miało swoich arcykapłanów, swych bohaterów i swoich męczenników. Przez długie lata utrzymywał się na Podhalu kult Klimka Bachledy<sup>7</sup>, co był rycerzem tatrzańskiego Graala<sup>8</sup> i jego męczennikiem. Niby swoim patronem szczylicili się nim insi przewodnicy i starali się wstępować w jego ślady. Żądni przodowania byli zwłaszcza Gąsienice i Marusarze.

Z respektem i podziwem spoglądał ceper z dolin na rozliczne narzędzia, potrzebne do wysokogórskich wspinaczek. Uczył się rozróżniać zwykłą ciupagę od majestatycznej rąbanicy, ważył w rękę ciężkie czekany, zastanawiał się, do czego służą raki, i chociaż jeszcze nie był w górach, paradował na Krupówkach przepasany przez ramię ciężkim zwojem kilkunastometrowej liny. Wytwarzał się taterniczy snobizm.

W miastowych gagatkach budziła się ambicja i chęćka współzawodnictwa, gdy słuchali nieskończonych opowiadań o zdobywaniu Mnichów<sup>9</sup>, Lodowych

---

<sup>6</sup> Stanisław Roj – chodzi raczej o Wojciecha Roja (1839-1924), jednego z najświetniejszych przewodników tatrzańskich. Początkowo zajmował się on rolnictwem, kowalstwem i ciesielstwem. Po przyjeździe Chałubińskiego do Zakopanego Roj stał się jego przewodnikiem po Tatrach. Był także czołowym wykonawcą stylu zakopiańskiego w budownictwie.

<sup>7</sup> Klemens (Klimek) Bachleda (1849-1910), przewodnik, ratownik tatrzański, cieśla, juhas. Jeden z najwyższej cenionych przewodników tatrzańskich. Odkrył wiele nowych dróg taterniczych. W 1909 r. wraz z Zaruskim był założycielem Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Nazywano go „królem przewodników tatrzańskich” (także Orzeł Tatr). Zginął w Tatrach podczas akcji ratunkowej.

<sup>8</sup> Graal – św. Graal, kielich Ostatniej Wieczery. Poszukiwali go według legendy rycerze tworzący drużynę legendarnego Artura, celtyckiego króla Brytów z V-VI wieku.

<sup>9</sup> Mnich, turnia (2068 m n. p. m.) w kształcie iglicy skalnej, położona w Tatrach Wysokich, w Dolinie Rybiego Potoku, na południowy zachód od Morskiego Oka. Początkowo uważany był za niedostępny, zdobycie go w 1879 przyjmuje się za początek taternictwa. Mnich jest symbolem polskiego przewodnictwa tatrzańskiego, jego sylwetka widnieje na odznakach

Wierchów<sup>10</sup>, Żabich koni<sup>11</sup>, różnokolorowych turni, gdy dowiadywali się o śmiałkach, co wchodzili na granie kominami, wjeżdżali na nie skalnymi końmi, lub po chwiejnych klamrach pięli się z Durnego na Łomnicę<sup>12</sup>. Tych, co byli już nieco z wspinaczkami obyci, pożerała chęćka wyszukiwania nowych szlaków na karkołomne krzesanice. Ci, co mieli odwagę uprawiać kłusownictwo na kozice, uchodzili niemal za mitycznych półbogów.

Nawet szare ciżby „umrzyków”, co przyjeżdżali do Zakopanego niby do przystani dobrej śmierci, szukały pociechy w górach. W swoim czasie nawet Żeromski bywał na wycieczkach, chociaż nękały go krwotoki. Zdrowszy od niego Miciński na najmniej uczęszczanych przełęczach odprawiał bombastycznie swe gwiazdne misteria. Natchnienie wtaczało na najzawrotniejsze szczyty tęgą i pękatą osobę Kasprowicza. Dużo wcześniej od nich, wśród taterniczej rzeszy wstawił się Kazimierz Tetmajer, nie tyle swoimi lirykami, co graniami, które od niego otrzymały swe nazwy.

Schronisk w Tatrach podówczas prawie nie było. Jakoż nawet najpiękniejsze panie tułały się po górach niby oready<sup>13</sup>. Gdy noce zapadały, szukały one przytułku w juhasowskich<sup>14</sup> szałasach, w obórkach lub nawet w opuszczonych chlewach. Zdarzało się, że nieraz musiały spędzać noce przy wiatrach, pod gołym niebem. A w Tatrach rzadko bywa pogodnie.

Nieprędko doświadczyłem na sobie upojenia wysokogórskiego, kiedy jednak go doświadczyłem, uległem mu całkowicie. Wprawdzie nie jest ono tej miary, co upojenie miłością czy twórczością, bo nie wynieśmiertelnia i nie przebóstwia. Raczej mięśnie napina niż duszę. Z upojeń jednak fizycznych i niższego rzędu jest ono bodaj najszczytniejsze. Żadna gra tak nie upaja ni żadne wino. Nigdzie pełniejszą nie żyje się piersią niż na szczytach.

---

przewodnickich (tzw. blachach). Nazwa Mnich pochodzi od kształtu turni (zakonnik w kapturze) i wiąże się z legendami góralskimi.

<sup>10</sup> Chodzi o grupę szczytów w głównym grzbiecie Tatr Wysokich: Lodowy Szczyt (2628 m n.p.m.), masyw między dolinami Jaworową i Pięciu Stawów Spiskich, trzeci pod względem wysokości szczyt tatrzański; Lodowa Kopa (2611 m n. p. m. ), w południowej grani Lodowego Szczytu; w północno-wschodniej natomiast – Śnieżny Szczyt (2467 m n.p.m.).

<sup>11</sup> Żabi Koń, Żabi Kôň, turnia (2291 m n. p. m.) w głównej grani Tatr Wysokich, na granicy polsko-słowackiej, wznosząca się nad Dolinami Rybiego Potoku i Mieguszowiecką, na zachód od Rysów. Zbudowany z granitów, dostępny tylko drogami taternickimi, zdobyty w 1905 roku.

<sup>12</sup> Łomnica, Lomnický štít (2632 m n. p. m.) – szczyt w bocznej grani Tatr Wysokich, na Słowacji, między dolinami Zimnej Wody a Kieżmarską. Drugi po Gerlachu pod względem wysokości szczyt w Tatrach. W przeszłości Łomnica nazywana była także Królową Tatr.

<sup>13</sup> oready – (gr. *Oreíádes*) *mit.gr.* nimfy gór.

<sup>14</sup> juhas – pasterz dozorujący owce.

Szczęściem, niezmaconym szczęściem bywa uczucie błogości, swobody i lekkości. Jakby coś nas wyzwalało z nizinnego kału i nizinnej cieśni, jakby niosło nas w kryształne, dalekie przestrzenie... Samym powietrzem po pijanemu się żyje – mówiąc słowami poety<sup>15</sup>. Nie zapomnę nigdy istnego szału, jakiego doznałem na Łomnicy, kiedy poniżej mnie przeciągała burza. Zwały obłoków, gęsto przetykanych błyskawicami, wyglądały jak pokłady rozżarzonych węgli. W dole był padół ciemności, a nad moją głową jaśniało w lazurze słońce. Z zachwytu chciało się mi śmiać, płakać, ryczeć, tańczyć i składać wiersze. Z zachwytu byłem gotów całować poszarpane granity. Bogata w myśl lekkomyślność przystrajała wieńcem mą głowę. Jakby kosmicznymi niesiona promieniami napływała boskość w mą duszę, a siła w członki mojego ciała. Zdawało się mi, że niby jakiś święty stoję w glorii życia. Podobnych wrażeń doznawałem później w Alpach, Apeninach, Pirenejach. Na szczytach wszędzie śpiewałem bezgłośnie Hosanna. Jakże nędzne i mizerne były wówczas i są odtąd dla mnie wszelkie „sztuczne raje”, nawet Baudelaire’owskie<sup>16</sup>, w których ukojenia dla swych nerwiątek szukali zakopiańscy zwyrodnialcy...

Ludzi rozkochanych w bogactwie, piękności i niepowszedniości języka czarowało słownictwo podhalańskie. – Wierchy, granie<sup>17</sup>, krzesanice<sup>18</sup>, grapy<sup>19</sup>, źleby<sup>20</sup>, piargi<sup>21</sup>, skale, brzyzki<sup>22</sup>, watry<sup>23</sup> oraz słowa im podobne dyszały wichrem halnym, pachniały, jak po deszczu pachną fiołkami porosty na skalnych „maliniakach” czyli ogromnych złomach, zawałających gdzieniegdzie wyżynne upłazy. Młoda Polska przyczyniła się wielce do wzbogacenia, ubarwienia i urozmaicenia polskiej mowy, jednym zaś z bodźców, co ją ku temu popchnęły, była niewątpliwie świeżość podhalańskiej gwary. Już Sienkiewicz z lubością poddawał się jej urokowi.

Z początku nie miałem odczucia ani zrozumienia dla środowiska, w które się dostałem. Niebo było dla mnie bezduszne, roślinność żebraczo uboga, ludzie nieciekawi. Nie podobało się mi Zakopane i jego granitowy kościół

---

<sup>15</sup> Cytatu nie znaleziono.

<sup>16</sup> *Sztuczne raje* – tytuł zbioru esejów Baudelaira.

<sup>17</sup> granie – grzbiety skał.

<sup>18</sup> krzesanica – urwisko skalne, stroma ściana skalna.

<sup>19</sup> grapa – strome lub urwiste zbocze, grzbiet lub wzniesienie.

<sup>20</sup> źleby – strome wręby w zboczu skały, którymi spływa woda.

<sup>21</sup> piargi – drobne kamienie, żwir, usypisko skalne.

<sup>22</sup> brzyzek – pagórek, urwisty brzeg nad jarem lub strumieniem.

<sup>23</sup> watra – ognisko.

bajecznie tyrolski<sup>24</sup>. Na styl podhalański ruszałem ramionami. Mroziły mnie powiewy od Tatr, wiecznie obwieszonych łachmanami mgieł. Drażniły mnie płachty śniegu, wciąż jeszcze leżące na szczytach, chociaż już była połowa czerwca. Ludek góralski budził we mnie politowanie. Cóż było osobliwego w jego strojach i w jego hałaśliwej wesołości? Przecież na Podolu chłopci ubierali się dużo barwniej, a śpiewy ich brzmiały bez porównania melodyjniej. Takie były wrażenia pierwszych tygodni. Byłem chory. Byłem ceprem posepnego oblicza.

Podówczas jeszcze zupełnie nie znałem Zakopanego. Nie zebrałem w porę wiadomości o tamtejszych hotelach i pensjonatach. Przyjechałem nie wiedząc, co ze sobą zrobić ni gdzie się obrócić. Zamieszkałem tedy na razie w Dworcu Tatrzańskim<sup>25</sup>, co był siedzibą Towarzystwa Tatrzańskiego<sup>26</sup> i gdzie zarazem znajdowała się restauracja oraz kilka czy kilkanaście pokoi dla przyjezdnych gości. Było to rozłożyste dworzyszczce, zbudowane na starodawną podhalańską modłę, z olbrzymich świerkowych „płazów” i pełne żywicznych zapachów. Przed frontem przepływał rwący strumień górski, którego odpryski, niesione podmuchami wiatru, dosięgały nieraz mojej twarzy na werandzie Dworca, gdzie przesiadywałem wygrzewając się na słońcu, wciąż jeszcze bladym, chociaż już czerwcowym.

Około południa weranda ta zamieniała się w pokój stołowy. Zapobiegliwy restaurator, jak na ówczesne Zakopane, nieźle żywił swych nielicznych gości. Często bywały na obiad pstrągi, jeszcze częściej doskonała baranina i poziomki ze śmietaną, a zawsze i o każdej porze znakomita czarna kawa. Żywiłem się głównie poziomkami i czarną kawą.

Z ciekawości czy z nudy wrychle zauważyły to dwie panie, co okrom mnie były podówczas jedynymi gośćmi Tatrzańskiego Dworca. Były tak bardzo do siebie podobne, iż odgadłem od razu, że chodziło o matkę i córkę. Matka musiała już mieć pod pięćdziesiątkę, lecz wciąż jeszcze była impo-

---

<sup>24</sup> Chodzi o kościół pod wezwaniem Najświętszej Rodziny.

<sup>25</sup> Dworzec Tatrzański Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Drewniany dwór wzniesiony przez Gustawa Fingera według projektu Karola Zaremby w 1881 r., otwarty 30 VII 1882. Mieściły się w nim biura Towarzystwa Tatrzańskiego, biblioteka, czytelnia, pokoje dla panów i pań, pomieszczenia hotelowe i sala balowo-impresowa. 21 I 1900 r. w czasie karnawałowego „Balu wszech stanów” obiekt spłonął od napełnianej lampy naftowej. Nowy, murowany budynek oddano do użytku 1 VII 1903 r.

<sup>26</sup> Towarzystwo Tatrzańskie powstało w 1873 r., za cel obrało sobie uprzystępnianie Tatr społeczeństwu, organizację ruchu turystycznego, ochronę przyrody górskiej, pomoc gospodarczą dla miejscowej ludności, stworzenie ośrodka politycznej konspiracji.

nującą pięknoscią. Córka była bodaj jeszcze piękniejszą. Wdzięcznie i zarazem poważnie spod zwojów kasztanowatych włosów patrzyły jej czarne, marzycielskie oczy. Gadatliwy kelner wydał mi, iż przyjechała z mamusią do Zakopanego dla wydobrzenia po niedawnej, ciężkiej grypie. Obie, matka i córka, miały coś z tego charakterystycznego uroku, który posiadały w swoim czasie przedstawicielki wytworniejszego patrycjatu warszawskiego. Musiały należeć do rodziny zamożniejszych przemysłowców czy fabrykantów warszawskich.

Niebawem potem przystąpił do mnie podczas obiadu właściciel restauracji, okazały kuchmistrz w śnieżnobiałym fartuchu oraz śnieżnobiałej czapie, i jał mnie prosić, abym przysiadł się do stołu owych pań, bowiem jednemu, starremu i już zniedołężniałemu kelnerowi trudno jest obsługiwać w dwu przeciwnych końcach obszernej werandy. Domyśliłem się, że chodziło nie tyle o kelnera, co o piękne warszawianki, które widocznie miały już dosyć obcowania z nieprzystępnym dla nich pięknem wyżynnej przyrody tatrzańskiej i zapragnęły bliższego, ludzkiego towarzystwa. Podobały się mi, więc nic nie miałem przeciw tej nowej znajomości, tym bardziej, że znajdowałem się w stanie, kiedy się potrzebuje wezglowia ludzkiej życzliwości i współczucia. Nastąpiło przedstawienie. Nie pomyliłem się. Dowiedziałem się, że nadobna pani była istotnie małżonką jednego z reprezentantów pracy organicznej, którzy zakładali fabryki naczyń emaliowanych i odlewnie żelaza. Jej córka miała piękne i niezwykle imię Grażyny, podobno ku pamięci przodków litewskich, którzy dawniejszymi czasy posiadali rozległe majątkości i wielki mir, hen na krańcach Witebszczyzny.

Rychło nastąpiło przyjacielskie zbliżenie. Mama przestała mierzyć mnie z ukrycia kosymi, podejrzliwymi spojrzeniami. Przestały płoszyć się za łada powiedzeniem ciekawe oczy córki. Z początku mówiliśmy ni o tym ni owym. Później rozmowy zeszyły na rzeczy poważniejsze, na sprawy narodowe. Starsza pani była ich entuzjastką. Brała czynny udział w pracach oświatowych, łożyła szczerze na tajne nauczanie, dzięki któremu kultura ojczyzna utrzymywała się w zaborze rosyjskim na jakim takim poziomie. Córka znajdowała upodobanie w literaturze, zwłaszcza w poezji. Ujęło mnie to bardzo, że wielbiła Słowackiego. Zauważyłem znacznie wcześniej, że umiłowanie Słowackiego bywa w naszym społeczeństwie niezawodną oznaką szlachetniejszej i prawdziwie polskiej kultury. Twórca *Anhellego* miał prawo powiedzieć o sobie, „ja jestem gwiazdą życia...”

Na Podhalu zaczynał się sezon, sezon letni, gdyż nie uprawiano podówczas śnieżnych sportów i sezonu zimowego jeszcze nie znano. Od strony Chabów-

ki<sup>27</sup>, skąd jeszcze nie było kolei do Zakopanego, coraz gęściej jęły nadjeżdżać powózki góralskie, pod których płótnami, rozpiętymi na kabłąkach, gnieździły się całe rodziny z górami tobołów oraz kuchennego statku. To krakowskie mieszcuchy zdążyły na letnie mieszkanie do góralskich domków, najczęściej dwuizbowych i wielce prymitywnych.

Taki właśnie domek wyszukałem sobie u podnóża Gubałówki, na lesistym „brzyzku”, co karkołomnym urwiskiem staczał się uroczo w dunajcowe wody. Wokół rosły ogromne buki i jak capy, brodate od mchu, odwieczne smreki. Miejsce było takie odludne, że często zaglądały do niego sarny, co przychodziły pić wodę z potoka. Wydzierżawiona przeze mnie chata znajdowała się pod osłoną konarów rozłożystego buka, co przepotężnymi swymi korzeniami wgryzł się w skalistą ziemię „brzyzka” i rwącej wodzie, która podmywała go od spodu, zdawał się urągać szumem liści niby słowami: Co mi zrobisz? Przed chatą leżały trzy kłody, takie grube, że mogłem na nich przesiadywać wygodnie i nawet wylegiwać się, gdy podścieliłem sobie kosmatą baranicę, którą zastałem w chacie. Widocznie miała ona zastępować materac, którego na łóżku nie było.

Przeniosłem się w to zacisze, gdyż w Dworcu Tatrzańskim poczęło być dla mnie za gwarno, przede wszystkim zaś za drogo. Ale nie przestałem tam bywać na obiadach i przyjaźnić się z Panną Grażyną, której mama jęła pozwalać nawet na dalsze ze mną przechadzki. Odbywałem je z niejakim przymusem, bowiem ciężyło mi wszelkie towarzystwo, nawet tak miłe jak Panny Grażyny. Lubiłem ją, lecz jeszcze więcej lubiłem samotność mojego odludzia. W przyjaźni mojej dla niej nie było ani cienia erotycznego pożądania, nie było nawet ciekawości. Ona natomiast była prawdziwie po kobiecemu ciekawa wszystkiego, co mnie dotyczyło. Nie spoczęła, aż pokazałem jej ścieżkę i kładkę, którą skracałem sobie drogę do mojego mieszkania.

Tak było jakoś do połowy lipca, kiedy w Tatrach zadał straszliwy wicher halny, co srożył się niezwykle długo, bo prawie dwa tygodnie, pogruchotał w pował lasy na ogromnej przestrzeni, przewiał gorącym tchem kotlinę zakopiańską, zburzył w niej kilkadziesiąt zabudowań góralskich z kilkudziesięciu zaś innych pozrywał dachy niby czapki z głów ludzkich.

---

<sup>27</sup> Chabówka – wieś w północno-zachodniej części województwa małopolskiego, w dolinie Raby, otoczona pasmami Beskidu Żywieckiego, Wyspowego i Gorców. Węzeł kolejowy na liniach łączących Kraków z Zakopanem i Nowym Sączem (linia Kraków – Chabówka otwarta w 1884 roku, a Chabówka – Zakopane w 1899).



Już na parę dni przedtem jęły go zwiastować różne oznaki. Niebo było pogodne, lecz powlokło się leciuchnym ołowianym nalotem, przez który słońce przeświecało niby nieżywe. W powietrzu, co stało się osobliwie szklistym, jak gdyby przybliżyły się góry, posiniały i przycichły lasy. Inaczej zaszemrały strumienie. Psy jęły jeżyć sierść i kręcić się niespokojnie. Lękliwie porykiwało bydło. Owce na halach zaczęły zbijać się w gęstsze kierdele. Niby łapska bajecznego potwora jęły wysuwać się zza Giewontu bure macki obłoków. Wysuwały się i chowały się znowu. Halny już był w górach, ale jeszcze nie zstąpił w dolinę.

Zrobiło się nieznośnie duszno i gorąco. Jak w Alpach podczas [----], zdawało się, że nie było czym oddychać. Krew łomotała burzliwie w skroniach. Wrażliwsze nerwy były jak przeciągnięte struny.

Odczułem wtedy na sobie po raz pierwszy działanie wiatru halnego. Nigdy potem nie było ono równie potężne. Wytrąciło mnie ono całkowicie z równowagi nerwowej. Wprawilo w nieopisane podniecenie. Mój stan podgorączkowy zamieniło niby w płomień pożerającej choroby. Już pierwszą noc spędziłem jak na rozżarzonych węglach. Następnego dnia byłem taki wyczerpany, że wolałem wyrzec się obiadu i poprzestałem na zsiadłym mleku, które w pięknie pisanym dzbanie przyniosła mi moja posługaczka góralska.

Za małymi okienkami mojej izby sypialnej wciąż jeszcze pogodnie migotało słońce, zdając się mnie zapraszać w cień buka, co rozpościerał swe konary nad chatą niby władny duch opiekuńczy. Zwlokłem się tedy z łóżka, przyodziałem się, zabrałem ze sobą baranicę i rozścieliwszy ją przed chatą na kłodach, ułożyłem się do snu. Obawiałem się, że nie zasnę, lecz po niejakiem czasie zapadłem w stan co był pośredni między snem a jawą.

W pewnej chwili wydało się mi, jak gdyby ktoś lekkim krokiem przeszedł przez kładkę, przerzuconą przez strumień. Wziąłem to tylko za złudzenie i mocniej przymrużyłem powieki. Od dalszych szmerów odwrócił moją uwagę dzieciół, co pracowicie jął kuć w koronie buka nad moją głową. Począłem liczyć stukania jego dzioba, lecz nie doliczyłem się nawet dziesięciu, gdy nagle czyjeś drobne, lekkie dłonie przykryły moje oczy i wionął przyciszony chichot, dobrze mi znajomy.

Zerwałem się przez pół postania.

– Panna Grażyna!... – krzyknąłem, po czym ruchem, z którego sam nie zdawałem sobie sprawy, objąłem ją, przygarnąłem do siebie i począłem namiętnie całować.

Nie bronila się wcale. Jak gdyby po to przyszła. Co więcej, zrazu nieśmiało, potem coraz śmielej jęła oddawać mi pocafunki.

– Tak bardzo stęskniłam się do ciebie – zaszemrała nieprzytomnymi ustami. – Chcę być twoją... twoim umiłowaniem... Od ciebie nauczyłam się tego cudownego słowa...

Byłem uszczęśliwiony. Chciałem ją ugościć. Przypomniałem sobie, że w izbie miałem jeszcze jedną nie napoczętą miskę poziomek, które razem ze zsiadłem mlekiem przyniosła mi posługaczka.

– Czy masz ochotę na poziomki? – zapytałem. – Poczęstuję cię poziomkami... Zaraz przyniosę...

Chciałem biec, lecz ujęła mnie za rękę.

– Pójdę z tobą – rzekła, spuszczać oczy.

Nie powinna była pójść ze mną, bo stało się jak w onej piosence, którą śpiewa Ofelia w *Hamlecie*:

... weszła dziewczyna do chaty,  
lecz z chaty nie wyszła dziewczyną...<sup>28</sup>

Nie byłem uwodzicielem, panno z warszawskiego, patrycjuszowskiego rodu. Nie ja cię uwiodłem, lecz twoje własne szaleństwo i może wicher halny. Nie zastawiałem na ciebie pułapek. Nie szukałem twojego towarzystwa. Jednak lubiłem widzieć utkwione we mnie twoje marzycielskie oczy, kiedy mówiłem. Jak wyrocznie słuchałaś każdego mojego słowa, zwłaszcza gdy wypowiadałem swe poglądy na poezję. Nie trzeba kochać się w poezji, gdy się chce żyć rozsądnie i mieć spokojną głowę... Byłaś przyzwyczajona do zbytkownego mieszkania, do wytwornego salonu, do perskich dywanów, do zastaw ze sreber i kryształów, do jedwabnych sukien. Cóż zatem mogło ci się podobać w mojej szczupłej jak u charta twarzy, i w moich gorączkach?

Kto był więcej winien z nas?

Takie były rozmowy z moim sumieniem, kiedy we dwa dni później dostałem w nocy dużej gorączki. Byłem tak mało przytomny, że nie poznałem mojej posługaczki, kiedy o zwykłej porze przyszła do sprzątania. Przeżrana gaździnka pobiegła do kumów po radę i pomoc. Uradzili, że nie można leczyć cepra po góralsku gorzałką z pieprzem, bo mógłby od takiej kuracji u[---]ier[-]nąć, lecz że trzeba odwieźć go do szpitala. Przyjechali tedy po mnie wozem, obficie wysłanym owsianą słomą, zawinęli mnie w dery i po-

---

<sup>28</sup> „Dziewczyna słodka weszła do środka, Ale nie wyszła dziewczyną”. Akt czwarty, scena piąta. (Cyt. za: W. S h a k e s p e a r e, *Hamlet, księżę Danii*, przeł. S. Barańczak, Poznań 1990).

wieźli do prowizorycznego szpitala, bo stałego w Zakopanem podówczas jeszcze nie było. Po drodze nie wiadomo, co więcej huczało, wicher halny czy gorączka w moim mózgu.

Lekarze w szpitalu rozpoznali zapalenie opłucnej. Zajęli się mną jako kolegą nadzwyczaj troskliwie, aczkolwiek byłem tylko medykiem tytularnym, niejako *i n p a r t i b u s i n f i d e l i u m*<sup>29</sup>. – Po miesiącu wypuścili mnie ze szpitala – Boże, w jakim stanie! Zaledwie powłóczyłem nogami...

Góralską powózką pojechałem tedy do Dworca Tatrzańskiego na obiad. Starowina kelner powitał mnie ze zdziwieniem. Sądził, że już dawno opuściłem Zakopane, razem z paniami, z którymi zwykle jadałem obiady.

– A czy nie wie pan, dokąd pojechały? – zapytałem. – Pewno do Warszawy...

– Nie, nie do Warszawy – zaprzeczył. – Słyszałem, jak starsza pani mówiła, że wybierają się do Francji nad morze, że będą w Paryżu i że dopiero na jesieni wrócą do Warszawy...

Mama była osobą rozsądną. Nowymi wrażeniami i rozrywkami postanowiła zatrzeć w umyśle córki pamięć o mnie oraz pamięć popełnionego grzechu...

## XVI.

Skryłem się znowu w leśnej pustelni pod Gubałówką, pełen niezadowolenia ze siebie. Choroba wstrząsnęła całym moim jestestwem. Jeszcze więcej nadwątlila mój organizm fizyczny, ale pogłębiła mnie duchowo. Odebrała mi błogie zadowolenie z moich dotychczasowych tryumfów literackich. Jakież były one błahe! Błahe jak wierszyki, które rozsypywałem po felietonach dzienników i jednodniowych czasopismach. Zaprawdę, jeszcze nie było z czym położyć się do grobu, co wydawał się mi tak bliskim!

Jeszcze marniejsze były moje powodzenia rzekomo sercowe, jak gdyby serce miało coś wspólnego z odruchami znudzenia, próżności, ciekawości i żądy, boć przecie żądza przede wszystkim niosła różne synogarliczki w moje ramiona.

---

<sup>29</sup> *in partibus infidelium* – (łac.) w kraju niewiernych, przen. w otoczeniu wrogim ideologicznie, nieprzychylnym, niezyczliwym; tytuł biskupów nie mających własnej diecezji, piastujących godność nominalną.

Kiedyś Józek<sup>30</sup> w przystępie przyjacielskiego rozserdecznienia zapewniał mnie, że różne piękne panie i panny są oczarowane moim talentem, moją inteligencją, moją wiedzą, moją wytworną kulturą. Muszę powiedzieć na swą pochwałę, że nawet w pierwszej chwili z najwyższym niedowierzaniem przyjąłem te dytyramby. Cóż dopiero po chorobie, kiedy czułem się tak słabym i małym...

Jeżeli były we mnie jakie wartości, to tylko ja sam własną pracą mogłem wykrzesać je ze siebie niby iskry z zimnego, gnuśnego kamienia. Aby tego dokonać, było trzeba zamknąć się w samotności, ciszy i pokorze, skupić się, wyrzec się przyjemności towarzyskiego życia. Uparcie narzucało się mi przeświadczenie, że początkiem wszelkiej duchowej mocy winna być asceza. A ta nie przestawała się mi marzyć. Pragnąłem zdobyć potęgę, sławę, wielkość, co wydawała się mi jedynie godną posiadania. Nawet moja nieszczęsna miłość do Pani Kazimiery miała być szczeblem do tej wielkości. Lecz gdzie była boskość geniuszu? Gdzie była światowładna wola?

O, słabości, o nędzo!...

Było jednak coś we mnie, co zmuszało szukać czego nie zgubiłem i zaszyć się w głuszy. Byłem pewny, że w niej wytrwam, o ile zdołam się uwolnić od zajęć i przykrostek powszedniego życia. Postanowiłem tedy powierzyć się opiece gaździnki, co przed chorobą mi usługiwała. Poszedłem do niej. W pierwszej chwili nie chciała wierzyć, że mnie widzi wróconego życiu i na własne oczy. Miała wyrobione i mocno utrwalone poglądy. Była mianowicie przekonana, że nikt żywy i zdrowy nie wraca ze szpitala. Jeżeli nie wzięła mnie za upiora, to tylko dlatego, że był biały dzień i jasno świeciło słońce. Pogodziła się jednak w końcu z moim istnieniem.

Była już niemłoda, bezdzietną wdową, nie miała bliższej rodziny i utrzymywała się głównie z posług. Ucieszyła się przeto ogromnie, gdy jej powiedziałem, że będzie mogła zamieszkać w mej chacie i zająć się moim gospodarstwem. Odtąd z prozą życia miałem spokój. Gaździnka pamiętała o wszystkich moich potrzebach. Myła, sprzątała, prała, cerowała, czyniła zakupy, przyrządzała mi śniadania i kolacje. Tylko na obiady nie przestawałem po dawnemu chodzić do Dworca Tatrzańskiego. Byłem za młody, aby całkiem wyrzec się świata i choćby z daleka nie popatrzeć na ludzi. Otwierała przede mną bezmiary przyroda, poezja, sztuka i nauka, lecz przecież

---

<sup>30</sup> Chodzi o Józefa Jasieńskiego, brata Zawistowskiej.

najbardziej zajmującym pozostawał dla mnie człowiek. W nim wypowiadała się najwyraźniej tajemnica bytu.

Po paru tygodniach pustelniczego życia, co ograniczało się tylko do jedzenia i wylegiwania się na słońcu, jęła łagodnieć moja wewnętrzna szarpanina. Zwolnił przymus nieustannego wytężonego czucia i myślenia. Coraz częściej doznawałem wrażenia, jakoby coś upraszczało się i porządkowało się we mnie. Poprzez wciąż jeszcze przewalające się burzliwie obłoki melancholii jęła błyskać chwilami apatyczna, kojąca pogoda. Gorączki poczęły stopniowo opadać. Coś jakby zapowiedź przyszłej rzeźkości wstępowało w moje ciało. We snach zwidywały się mi dalekie jutrzeńki zdrowia, zwidywały się i nikły, kiedy otwierałem oczy. Jeszcze niewiele miałem sobie do powiedzenia, ale już mówiłem, że nigdy nie wyzdrowieję, jeśli nie ulecę się z fatalnej miłości.

W Dworcu Tatrzańskim bywały niekiedy na obiadach piękne kobiety. Lubiłem na nie patrzeć, jak się patrzy na piękne rośliny lub piękne zwierzęta. Ale nie pociągały mnie one i nie szukałem do nich zbliżenia. Odstęczała mnie od nich pamięć nie tyle minionych rozczarowań, co niesmak, jaki daje poczucie winy. Nie było i nie ma dla mnie przykrzejszej rzeczy, niż czuć się winowajcą.

Pewnego dnia wchodząc na werandę Dworca Tatrzańskiego usłyszałem za sobą wołanie. Wołał mnie dźwięczny głos męski. Odwróciłem się i omal że nie drgnąłem, kiedy z wyciągniętą do uścisku dłonią przystąpił do mnie młodzian wytworny i uśmiechnięty. Znałem go. Poznałem swego czasu w Kurhanówce<sup>31</sup> u Państwa Hosteńskich<sup>32</sup>. Nazywał się Pólsiekierski. Był nie tylko bardzo miły, lecz także nadzwyczaj uzdolniony. Podobno zaliczał się do najtęższych głów w dziedzinie skarbowości. Przy tym, jakby chcąc uniknąć jednostronnego zacieśnienia, okazywał ogromne zamiłowanie do sztuk plastycznych, zwłaszcza do architektury. Nie miałem sposobności porozmawiać z nim dłużej, lecz także wyniosłem wrażenie natury niepospolitej. Witał mnie, jak gdyby chciał mi okazać swą sympatię i miał mi coś do powiedzenia.

– Czy według pana telepatia mieści się w granicach możliwości? – zagađnął mnie z uśmiechem. Skąd to pytanie przyszło mu do głowy? Miałem zupełną pewność, że oddziaływanie człowieka na człowieka samą tylko myślą lub samym tylko uczuciem z każdej odległości jest możliwe. Przecież dopiero

---

<sup>31</sup> Pod tą nazwą ukryta jest Supranówka, wieś na Podolu.

<sup>32</sup> Chodzi o Zawistowskich.

od niedawna zelżał ucisk czyjejs tęsknoty, której oddziaływanie aż boleśnie dawało się mi odczuwać z oddali!

Wolałem jednak to przeświadczenie zachować na razie tylko dla siebie. Odparłem z udaną niedbałością:

– Chyba w niczym innym sceptycyzm nie jest więcej na miejscu.

– Jest pan niezbyt wrażliwy – zaśmiał się znowu. – Gdyby mnie wspomiano równie często, z takim podziwem i z taką sympatią, i jak niedawno przede mną wspomiano pana, to odczułbym to chyba na końcu świata.

Radosnym przeczuciem drgnęło we mnie serce.

– Któż mnie tak wspominał? – zapytałem od niechcienia.

– Najpiękniejsza i najniepospolitsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem w życiu – odrzekł entuzjastycznie. – Czyż pan się nie domyśla? Pani Hosteńska...

– Pani Hosteńska?... – powtórzyłem. – Piękna pani z wieszczymi oczami? Gdzież pan z nią się widywał? Czy w Kurhanówce?

– Jak pięknie wyraził się pan o jej oczach! Ona naprawdę ma coś z wieszczki w romantycznym tego słowa znaczeniu. Nie, nie byłem w Kurhanówce. Spotykałem ją we Lwowie, gdzie przebywa już od kilku tygodni. Rozruszała tamtejsze towarzystwo. Jest świetna, porywająca! Wlecze za sobą całą czeredę wielbicieli. Przerwa jej nie odstępkuje. A ona wszystkim mówi o panu. Głosi pańskie imię.

Wydało się mi, że nieco ironicznie zadźwięczały ostatnie jego słowa. Nachmurzyłem się. Wycodziłem ozieble:

– Pan żartuje...

– Nie żartuję – odpowiedział z wielką żywością. – Zazdroszczę panu... Zresztą pan sam wnet się przekona o prawdzie słów moich, gdyż ona niebawem ma tu przyjechać, a jak pan już wie zapewne, nie umie udawać!

Wzmianka o Przerwie dotknęła mnie nieprzyjemnie. Zapytałem złośliwie:

– Czy z panem Przerwą przyjedzie?

Ruszył ramionami.

– Nie wiem, może z nim. Bardzo często widzi się ich razem. Mówią, że mają się ku sobie. Ale czyż można polegać na tym, co ludzie mówią? Ona jest nieuchwytna i nieobliczalna...

Usiedliśmy do stołu. Zaczęliśmy mówić o pstrągach, które były w jadłospisie, i o Tatrach. Pan Pólsiekierski rzekomo przyjechał, aby odświeżyć się nieco na wycieczkach, ale ja podejrzewałem, że miał na myśli wieszczkę... Tę nieobliczalną... Ha, ha, ha!

Już w parę dni później miałem sposobność przekonać się o prawdziwości tego, co opowiadał. Spotkałem Panią Kazimierę na głównej ulicy zakopiańskiej. Jechała staroświecką, parokonną landarą, szlachetna szlachetnością swej urody i szlachetnością swych strojnych jedwabi. Pełne weselnej pogody były jej niezgłębione oczy. Lubieżnie płonęły jej płocze usta. Zatrzymałem się i świat zakotłował mi przed oczyma. Lecz tejże samej chwili dostrzegłem obok niej Przerwę, więc opanowałem się i ukloniłem bardzo ceremonialnym ukłonem. Niemniej ceremonialnie oddał mi go Przerwa. Wtedy z ust pięknej pani wydarł się okrzyk. Niecierpliwym rozkazem zatrzymała pojazd, wyskoczyła z niego i pobiegła do mnie, zupełnie niepamiętna Przerwy, który jak gdyby zdrętwiał w bezruchu.

– To pan tutaj? – zawołała, a z rozradowania zdawało się przelewać brzmienie jej głosu. – Znikł pan z Krakowa, nie dając nikomu znać o sobie. Czyż się godziło tak bardzo zaniepokoić przyjaciół? Przecież Józek...

Głos jej się zachwiał, kiedy niemal wbrew swej woli uśmiechnąłem się drwiąco. Przygasła radość w jej oczach.

– Józek jest chory. Obawiam się, że bardzo – rzekła smutno, jak gdyby chciała wywołać moje współczucie. – Przebywa obecnie w Wiedniu, dokąd go wysłali krakowscy lekarze na klinikę dla jakichś specjalnych zabiegów. W ostatnim liście pisze, że jest mu dużo lepiej i że za kilka tygodni przyjedzie tutaj, aby mnie zabrać do Kurhanówki.

Prawie nie pojmowałem znaczenia jej słów. Poilem się jeno brzmieniem jej głosu, blaskiem jej oczu, powabem jej postaci. Bezmierna miłość co „zna przebaczenia anielską pogardę”<sup>33</sup> musiała być w moim spojrzeniu, gdyż zapłonęła się z lekka.

– Tak dawno nie widzieliśmy się – zaszemrała półgłosem. – Tak długo marniałam z dala... Czytałam, jak mi pan radził... Chłonełam książki.. Ale ja nie umiem żyć bez żywej poezji! Chciałabym o tym porozmawiać z panem dłużej – i choćby zaraz...

Cudownie umiała się przeobrażać. Jakby wstąpiła w nią inna dusza. Jakby została umyta z grzechu wiarołomstwa i ze wszystkich innych grzechów.

Od powozu doleciało przeciągłe chrząknięcie. To Przerwa przypominał o sobie. Zmarszczyła brwi.

– Niech pan jedzie sam dalej – zawołała do niego. – Chciałabym trochę przejść się pieszo i porozmawiać swobodnie z dawnym znajomym.

---

<sup>33</sup> Cytatu nie znaleziono.

Ze słów dorozumiałem się, że mieszkała z Przerwą w jednym i tym samym pensjonacie. Zapewne w Zakładzie dr Chramca<sup>34</sup>, co podówczas był bardzo wzięty i uchodził za najlepszy. Podobno bawiono się tam przewybornie, lecz ja nienawidziłem wtedy zabaw w swej młodzieńczej zapalczywości i nie cierpiałem tych, co w zabawach szukali zapomnienia o pustce swych mózgów i pustce swojego życia. Moje życie było pełne...

Przez chwilę szliśmy w milczeniu obok siebie. Po czym rzekłem, siląc się na ton lekki i obojętny.

– Co tylko powiedziała pani, że nie może żyć bez żywej poezji. No, to obecnie ma jej pani chyba w obfitości...

– Dlaczego? – zapytała.

– Bo przebywa pani pod jednym dachem z Panem Kazimierzem...

Słowa moje zasyczały sucho i zjadliwie. Zrozumiała, że byłem o nią zazdrosny. Potrząsnęła z rozżaleniem głową.

– On jest poetą, ale nie żyje poezją. Nie ma od niego na co dzień pospolitszego i bezbarwniejszego człowieka. A niech mi pan nie bierze za złe, że mówię do niego po imieniu. Był przez dłuższy czas naszym gościem. Potem prawie co dzień widywałam go we Lwowie, gdzie pielęgnowałam w chorobie Józka. Zżyliśmy się. To tylko z panem żyć się niepodobna. Jest pan bardzo wymagający i tak trudno dostępny, jak wierchy tych gór...

Wskazała ręką szczyty siniejące w oddali.

– Czy to źle? – zapytałem.

W zamyśleniu podniosła na mnie oczy.

– Nie, to dobrze – odparła. – Nie co innego miałam na myśli, gdy mówiłam o żywej poezji. Lecz jest to bardzo trudne.

Czułością, dla której nie ma nazwania, wezbrało mi serce.

– To, co pani nazwała żywą poezją, nie jest chyba niczym innym, niż tęsknotą do doskonałości, która w moim rozumieniu stanowi sens i cel ludzkiego istnienia. Doskonałość jest nieskończona i tęsknota jest nieskończona. Może ona stać się pięknością i wielkością, ale szczęściem, sytym, samolubnym szczęściem być nie może. Nędzne jest szczęście, co nie uszczęśliwia drugich. Czy to panią przeraża, Wasza Ptaszeca Mości?

---

<sup>34</sup> Andrzej Chramiec (1859-1939), lekarz, wójt, pierwszy góral, który ukończył studia wyższe. Pracował jako lekarz klimatyczny, otworzył w Zakopanem własny zakład wodolecznicy. Zakład ten prowadził w latach 1887-1916, goszcząc w nim m.in. Zapolską, Fałata, Tetmajera. W latach 1902-1906 był wójtem zakopiańskim, potem prezesem Rady Powiatowej w Nowym Targu (1912-1916).



Nie wiem, skąd wziął się ten tytuł w moim umyśle. Nie chciałem i nie mogłem wprost powiedzieć, że ją kocham, więc zawarłem w nim moją miłość, mój zachwyt, moje uwielbienie.

Płomię przebiegło po jej pociągłej, białej twarzy. Uszczęśliwieniem zamigotały jej oczy. Ale wraz posmutniała.

– Jak pan pięknie mówi do mnie! I zarazem jak niedostępnie! Powiedziałam już, że Przerwa tworzy poezję, ale nią nie żyje. Obca mu jest pańska wiekuista tęsknota. On woli łatwe, niewybredne, jednododniowe, tylko samolubne szczęście... – westchnęła i spuściła ku ziemi oczy. – A ja stoję między wami i nie wiem, co wybrać. Bo niech pan wreszcie wie, że nie jestem godna wyżyny, na której mnie pan stawia w swoim urojeniu. Mała i płocha jest moja dusza... I tak bardzo wszelkim pokusom podległa! Jak ćma leci do każdego światła. Nawet do błędnych na bagnach ogników. Niech pan modli się, abym stała się inną...

Podniesieniem ręki zatrzymała przejeżdżającą powózkę.

– I niech pan koniecznie mnie odwiedzi, lecz nie wcześniej, niż za jakie trzy dni. Muszę przedtem pomyśleć niejedno, muszę się skupić, po to, co mi pan daje, godniejszą wyciągnąć rękę... Do widzenia.

Podprowadziłem ją do dorożki i w milczeniu oddałem jej pożegnalny ukłon.

Kiedy zaś odjechała, zdjął mnie niesmak, niesmak do siebie samego. Bo czyż zawsze bywałem godny przykazania wiekuistej tęsknoty?

## XVII.

„Nie, nie odwiedzę Pani ani teraz, ani za trzy dni – pisałem. – Nie odwiedzę Pani nigdy. Nie zwykłem być przedmiotem wyboru i nie zwykła być nim również moja tęsknota. Mogę być tylko jednym lub żadnym. Wyprawdzam z wątpliwości i życzę powodzenia w tym, co przecież już od dawna jest przesądzone. Żegnam Panią”.

Wysiliłem się, aby wytwornie i niedbale wyglądał bilecik, na którym napisałem te słowa. Postanowiłem nie ustąpić, chociażbym miał tarzać się po ziemi i gryźć z tęsknoty ręce.

Poszedłem do gaździnki, która głośno krzątała się w kuchni.

– Gaździnko – rzekłem. – Powiedźcie, czy Staszek nie poszedłby ze mną na kilka dni w góry?

– Ej, czemu by nie miał pójść? – odpowiedziała. – Przecie to nie za darmo. Dacie mu strawę i zapłacicie...

Staszek jeszcze tego samego dnia odniósł mój bilecik do Pani Kazimieri, a nazajutrz wczesnym rankiem, z pełnymi zapasów plecakami, jechaliśmy we dwójkę do Morskiego Oka, skąd miała zacząć się właściwa wycieczka. Nie wytknąłem jej żadnego oznaczonego celu. Postanowiłem puścić wodze przelotnym zachciankom i wałęsać się. Zachciało się mi zobaczyć Ciemnosmreczyńskie Stawy<sup>35</sup>, te „pawie oka”, jak wyraził się o nich Kasprowicz<sup>36</sup>. Poszliśmy tedy poza Mnicha uciążliwą ścieżyną przez Wrota Chałubińskiego<sup>37</sup>. Staszek z radości podskakiwał i podśpiewywał. Jako góral jużćie lubił swą gwarę, ale mówić nią ze mną nie chciał.

– Bo byście się ze mnie śmiali – upierał się.

Młody, przesadnie ambitny chłopak!... Nic nie pomagały moje nalegania. Wybiegł przede mną i nagle krzyknął:

– Czy widzicie tego pana, co siedzi pod skałą? Taki śmieszny i nie nasz...

Spojrzałem i z uśmiechem przyznałem mu słuszność. Śród kosówki, co precudnie malachitową zielenią staczała się ze skalistego upłazu aż po skraj coraz wyżej wijącej się ścieżki, siedział niezdarnie pękaty, łysogłowy i krótkonogi człowiek. Miał małe, przebiegłe oczka, tłustą, beznadziejnie pospolitą twarz i nos, co na kształt krzywego dzioba wysterczał wścibsko i razem drapieźnie z pulchnego ciasta jego policzków. Błyszczały w słońcu jego złote binokle oraz główki stalowych gwoździ, którymi gęsto były nabite podeszwy jego turystycznego obuwia. Jego niekształtna postać po prostu zdawała się wylewać z kusej kurtki i jeszcze bardziej kusych porciąt tyrolskiego górala. L o d e n o w a<sup>38</sup> peleryna oraz zielony kapelusik z tradycyjnie szpetnym pędzelkiem leżały obok niego na trawie. Niespokojnymi rękami grzebał w swym nader skąpo wypchanym plecaku. Wyglądał na jednego z tych, co wszędzie chcieliby być jak u siebie w domu i wszędzie są obcy.

<sup>35</sup> Ciemnosmreczyńskie Stawy – dwa jeziora cyrkowe w Tatrach Wysokich na Słowacji, w Dolinie Piarżystej.

<sup>36</sup> J. K a s p r o w i c z, *Krzak dzikiej róży w Ciemnych Smreczynach*:

„W Ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,  
Gdzie pawiookie drzemią stawy” (w. 1-2)

– cyt. za: t e n ż e, *Wybór poezji*, oprac. J. J. Lipski, Wrocław 1990<sup>3</sup>.

<sup>37</sup> Wrota Chałubińskiego – wąska przełęcz w głównej grani Tatr Wysokich, między Szpiglasowym Wierchem a Ciemnosmreczyńską Turnią.

<sup>38</sup> loden – (niem. Loden) gruba, włochata tkanina wełniana (niekiedy z wełny wielbłądziej), spłśniona i naczesała w jednym kierunku, używana na płaszcze; potoczne określenie płaszcza z takiej tkaniny.

Ujrzawszy nas, ucieszył się wielce. Ociężałym ruchem podźwignął się na nogi i sięgnawszy po swój kapelusik, powiał nim ku nam przyjaźnie na znak powitania.

– G r ü s s e u c h G o t t, m e i n e H e r r e n<sup>39</sup> – zaskrzeczał nieprzyjemnie po niemiecku, berlińskim dialektem. – Wybaczcie, że mówię do was w obcym języku, ale nie znam waszego. Jestem berlińczykiem, direkt v o n B e r l i n<sup>40</sup>... Doktor medycyny i profesor uniwersytetu, Moritz Blaufarb, do usług!

Co za unізoność w stosunku do nas młokosów!... Nie podobał się on ani mnie, ani Staszкови. Na jego uprzejmość odpowiedzieliśmy powściągliwie i nader chłodno. Zatrzymaliśmy się jednak, kiedy zastąpił nam drogę.

– Panowie jesteście Polacy, a Polacy słyną w świecie z grzeczności i uczynności w stosunku do innych narodów – przypoehlebiał się nam dalej swym szwargotem. – Pozwólcie tedy, że przyłączę się do was. Wybrałem się w tutejsze góry po raz pierwszy i bez przewodnika, lecz teraz coś mi się zdaje, że źle zrobiłem.

Nie odpowiedziałem mu od razu, bo wcale nie życzyłem sobie jego towarzystwa.

– Pozwólcie panowie, ja was bardzo proszę – naprzykrzał się coraz natrętniej. – Umieć być dobrym towarzyszem. Odetchnijcie trochę. Usiądźcie na chwilę. Mam dobry koniak. Napijcie się ze mną...

Łypiąc błagalnie przebiegłymi oczami, ukląkł nad swoim plecakiem i wy dobył z niego niedużą, płaską flaszczynę, której zamknięcie było zarazem kubkiem do picia. Nieskorym ruchem, z którego krzyczało skąpstwo, jął sączyć do kubka kroplę po kropli płyn, który podobało mu się nazwać koniakiem, po czym wręczył mi kubek, ale napełniony tylko do połowy. Nie przyjąłem dość bezceremonialnie. Nie przyjął również wielce honorny Staszek, chociaż lubił mocny napitek mimo swego młodego wieku.

Aby nieco osłodzić naszą odmowę Dr Blaufarbowi, wyłuszczyłem mu, że nie chcielibyśmy uszczuplać jego zapasów, co wyglądają dość skąpo jak na dalszą wycieczkę. Po czym nie wdając się w dłuższe ceregiele usiedliśmy, pozdejmowaliśmy swe plecaki i zabraliśmy się do jedzenia i picia. Staszek chciał nawet uwarzyć herbaty.

---

<sup>39</sup> Grüss euch Gott, meine Herren – (niem.) Szczęść Wam Boże, moi panowie. Zdanie to jest wypowiedane w Niemczech jako pozdrowienie.

<sup>40</sup> direkt von Berlin – (niem.) wprost z Berlina.

– Daj pokój – rzekłem mu. – Napijemy się herbaty w południe, kiedy będziemy obiadowali przy Ciemnosmreczyńskich Stawach.

Dr Blaufarb wypił swój koniak, po czym z widoczną łapczywością jął przyglądać się naszemu śniadaniu. Kiedy wydobyłem kotlety, w które zapatrzyła nas gaździnka, nie mógł powstrzymać się dłużej.

– Widzę, że panowie znacie się na dobrych rzeczach – zaszwargotał. – A ja także lubię kotlety...

Nie pozostało nic innego, jak go poczęstować. Mlasnął głośno ustami, obrzydliwy w swej smakoszowskiej lubości.

Czułem do niego coraz większą odrazę. Powiedziałem mu dość szorstko:

– Jeśli pan koniecznie chce się do nas przyłączyć, to cóż robić? Niech się pan przyłączy. Uprzedzamy jednak, że będziemy pieli się po turniach i szczytach.

Nie miałem pierwotnie tego zamiaru. Dopiero w ostatniej chwili strzeliło mi do głowy, aby pójść na Hrubego<sup>41</sup>. Wiedziałem z opowiadania, że wejście na tę przysadzistą grań nie było zbyt trudne i chciałem odstraszyć niemilego natręta.

Ale odgadł chytrze, o co mi chodziło i nie dał sobie napędzić strachu.

– Wszędzie pójdę, gdzie pójda panowie – odparł zuchowato.

Cóż było robić? Ruszyliśmy dalej w jego towarzystwie. Słońce mocno dopiekało. Szedł tedy coraz wolniej, sapiąc i stękając. Co chwila zatrzymywał się, aby otrzeć kroplisty pot ze swej łysiny. U podnóża niezbyt szerokiego, skalnego wyłomu, którym po stromym piargu wchodzi się na przełęcz zwaną Wrotami Chałubińskiego, przeraził się. Z nieszczęśliwą miną przysunął się do mnie.

– Może by pański chłopak wziął mój plecak – mruknął, wskazując na Staszka – i pomógł mi przy wchodzeniu, bo ja inaczej na tę górę nie wleżę.

Wziął mnie gniew.

– To pan powróci – odpowiedziałem cierpko. – Chłopak już dźwiga dosyć ciężaru, aby jeszcze miał nieść plecak pański i ciągnąć pod górę pana.

Dr Blaufarb westchnął żałośnie, po czym z jakąś desperacką stanowczością jął wdzierać się na piarżysko. Pospołu z sypką ziemią obsunął się raz i drugi. Zaczem jak zwierz opuścił się na cztery łapy i raczkując, począł pełzać coraz wyżej i wyżej. Sapał, stękał, chlupał, wypluwał ziemię, co dostawała się mu

---

<sup>41</sup> Hruby Wierch (2431 m n. p. m.) – szczyt w bocznej grani Tatr Wysokich na Słowacji, oddziela Dolinę Hlińską od Niewcyrki.

do ust, jednak w końcu wygramolił się na siodło przełęczy, gdzie powalił się do naszych nóg, zdyszany, zapluty, ale tryumfujący...

Swym zachowaniem się popsuł nam zupełnie pobyt nad Stawami Ciemnosmreczyńskimi. Zamiast milczeć i patrzeć, rozgadał się. Jał przechwalać się swą wiedzą, swą praktyką lekarską, swymi bogatymi pacjentami. Zapewniał, że już od dawna byłby został lekarzem nadwornym, gdyby nie intrygi kolegów, którzy zazdroszczą mu jego powodzenia. W jego minach i ruchach przy tej gadaninie było po prostu coś małego. Kiedy patrzyłem na niego, przyszło mi na myśl, że mogą zapaskudzać sobą świat także doktorzy medycyny, którzy są zarazem profesorami uniwersytetu.

– Pan nie wytrzyma dalszej naszej włóczęgi – powiedziałem mu, biorąc odwet za niesmak i nudę, kiedyśmy od Ciemnosmreczyn schodzili do Doliny Hlińskiej<sup>42</sup>, takiej głuchej i zapadłej, jak gdyby znajdowała się gdzieś poza rubieżami świata.

Napuszył się i zaszwargotał:

– Ja nie wytrzymam?... Zobaczysz pan!... Dr Blaufarb wszystko wytrzyma, gdy zechce.

I wytrzymał. Poobijał sobie do krwi kolana, połamał na skałach paznokcie, zgubił swe złote binokle, ale wytrzymał. Był z nami na Hrubym, w Ogrodzie Wielkim<sup>43</sup> i w Ogrodzie Małym, gdzie rosną tylko głązy i jeno się dziwił, po co po takich urwiskach wałęsają się ludzie, którzy wyglądają na rozsądnych. Gorycz, co w nim się nagromadziła, wyzionął dopiero wtedy, gdy mu oznajmiłem, że nie zdążymy na noc do żadnego schroniska, lecz że będziemy musieli zatrzymać się w kolibie, co znajduje się opodal w Dolinie Koprowej<sup>44</sup>.

– Co to jest koliba? – zagadnął. – Czy tam będzie można napić się piwa i przespać się w wygodnym łóżku?

Zaśmiałem się z wyobrażenia, jakie miał ten berliński filister o tatrzańskich kolibach.

---

<sup>42</sup> Dolina Hlińska, Hlinská dolina – jedna z głównych odnóg Doliny Koprowej, podchodząca od Ciemnych Smreczyn ku wschodowi pod Przełęcz Koprową, doliną tą płynie Hliński Potok.

<sup>43</sup> *Ogród* to w gwarze podhalańskiej termin topograficzny. Może oznaczać on piętro doliny, taras na stromym stoku lub położony wysoko wśród skał podcięty kocioł o piarzystym dnie. Termin ten wchodzi w skład wielu tatrzańskich nazw geograficznych, np. wspomniany w tekście Mały i Wielki Ogród w urwiskach Hrubego Wierchu.

<sup>44</sup> Dolina Koprowa – najdalej na zachód wysunięta dolina w Tatrach Wysokich. Główne jej odnogi to doliny Hlińska i Piarzysta (ze Stawami Ciemnosmreczyńskimi).

– Nie, H e r r P r o f e s s o r – odrzekłem. – Koliba jest to bardzo prymitywny szałas, sklecony z nieociosanego drzewa i przykryty dachem z dranic<sup>45</sup>. Pułapu, podłogi i okien tam nie ma, a drzwiczki wejściowe są tak małe i wąskie, że wątpię czy przez nie zdołałby się przecisnąć jakiś zwierz większy, na przykład niedźwiedź.

– Niedźwiedź?... – zagadnął. – A czy w tych stronach są niedźwiedzie?

– Są – odparłem – w ogromnych borach, co zaczynają się właśnie od Koprowej Doliny i rozpościerają się daleko wzdłuż i wszerz.

H e r r Blaufarb pobladł i skurczył się w sobie na podobieństwo rośliny, co wiednie. Lecz jakby podźwignięty ukrytą w swym wnętrzu sprężyną, wyprostował się znowu.

– To po co pan mnie tutaj zaprowadził? – wrzasnął, łypiąc wściekle zakisłymi ze zmęczenia ślepiami. – Przecież to z pańskiej strony jest niegodziwe! Naraża mnie pan na zgubę i jeszcze każe mi pan nocować w jakimś chlewie, gdzie nie można dostać piwa i gdzie pewno nie ma łóżka!

– Nie ma – warknąłem również podrażniony. – W tej kolibie w ogóle nie ma sprzętów. Jest zaledwie kilka kamieni, co służą do rozłożenia ognia. – Zerknął jadownicę, jak gdyby chciał uśmiercić mnie swym spojrzeniem. Jednak w mig się opanował, uciszył i spokorniał.

– No, co robić? – westchnął z rezygnacją. – Pójdę, gdzie panowie pójdą.

Nie byłby się od nas odczepił, chociażby z powodu smakowitych kotletów, którymi go częstowałem na każdym popasie.

Z niewysokich chaszczyc, co porastają kamieniste dno Doliny Hlińskiej, zachynęliśmy we wspaniały, odwieczny, dziewiczy bór Doliny Koprowej. Obwieszane łachmanami siwych mchów świerki, których konary nie sterczą w górę, lecz chylą się skośnie ku dołowi, rosną tam, grubieją, starzeją się nietknięte siekierą i walą się w końcu spróchniałe w gąszcze, utworzone z niezmiernie bujnej, drobniejszej roślinności. Zwłaszcza paprocie tworzą tam zarośla tak wysokie, że nikną w nich ludzie nawet dużego wzrostu.

Wędrówka po tej puszczy bynajmniej nie jest łatwa, gdyż napotyka się co krok ukryte pod roślinnością doły wykrotów oraz zwały pni spiętrzonych, takich ogromnych i takich przegniłych, że nieraz aż po biodro zapada się postawiona na nich noga.

---

<sup>45</sup> dranica – deszczułka otrzymywana przez rozdarcie pnia drzewa iglastego, dawniej powszechnie wykorzystywana jako materiał budowlany – na podłogi, powały, do krycia dachów.

Rozłożyste korony drzew są tak gęste, że tylko z rzadka przenikają przez nie promienie słoneczne. Nie ożywia ich wcale śpiew ni świegot ptaszęcy. Bór ukryty głęboko wśród wyniosłych krzesanic jest pełen głuchej, uroczystej ciszy. Zda się, że lada chwila wyjdzie z gąszczy baśniowy jednorożec, niosąc przetwłosą oreadę na swym grzbiecie. W wierzchołkach drzew z rzadka zaszemrze wiatr lub odezwie się z podniebnej wysokości skwir przelatującego orła. Jedynym głosem puszczy, rażnym i donośnym, jest szum rwącej Koprowej Wody, co przedziera się przez gęstwinę, rozpryskuje się snopami wody na głazach zawalających jego łożysko i gubi się kędyś w podgórskiej słowackiej krainie.

Koliba, do której ze zmyślnością dzikiego zwierzęcia doprowadził nas Staszek, była dokładnie taka, jak ją opisałem naszemu nieproszonemu towarzyszowi. Ujrawszy ją, ze zgrozą załamał ręce. Staszek ubawiony jego zakłopotaniem, zachichotał z cicha za jego plecami. Ponieważ słońce miało się już ku zachodowi, zabrał się żwawo do roboty. Swą świeżo wyostrzoną rąbanicą naciął śpiesznie kosówki, po czym wyścielił nią bardzo niedużą kolibę od jednej ściany do drugiej. Kosówkę przykrył grubą warstwą paproci i w ten sposób dla nas wszystkich usłał poślanie, co może nie było zbyt miękkie, ale za to sprężyste jak materac dzięki podłożonej kosówce.

Następnie zabrał się do gromadzenia na opał chrustu i suchego drzewa. Nie było to rzeczą łatwą, gdyż na ziemi susz był wybierany przez tych, co przed nami nocowali w kolibie. Musiał Staszek wspinać się na świerki i swą rąbanicą strącać uschnięte konary i gałęzie. Trwało to dosyć długo, ale w końcu uzbierało się tyle opału, ile było potrzeba, aby przez całą noc podtrzymywać ogień, co był konieczny zarówno ze względu na dokuczliwy chłód nocny, jak ze względu na drapieżne bestie, co jęły się odzywać z nastaniem ciemności.

Gdy na kręgu ułożonym z kamieni jasnym płomieniem wreszcie zamigotał ogień, rozgospodarowaliśmy się na dobre. Ze spracowanych grzbietów pozdejmowaliśmy plecaki i porozzuwaliśmy się z ciężkiego obuwia. Szmer wody wrzącej w kotliku, jak górale nazywają czajnik, był miłą zapowiedzią gorącej herbaty, co jest najlepszym napojem podczas górskich wycieczek. Nie było już kotletów, ale mieliśmy jeszcze niemało chleba, dość dużo masła, szynki, sardynek i czekolady. Nawet Dr Blaufarb uniósł się szczodropliwością i dołączył do wspólnego dobra kilka jajek na twardo oraz trochę kiełbasy, przyrządzonej nie według naszego smaku.

Nasyciwszy się, wyciągnął się na posłaniu i zaraz usnął, chociaż zapowiadał, że przez całą noc nie zmruży oka. Nie budziły go nawet wycia wilków, co rozlegały się często z pobliskich chaszcz.

Był zły, gdy musiał wstać jeszcze przed świtem. Lecz nie dbaliśmy o jego humory. Mieliśmy tego dnia przed sobą daleką drogę. Chcieliśmy choć na krótko wstąpić do Newcyrki<sup>46</sup>, co dzięki swym tarasom oraz szmaragdowo zielonym Stawom Teriańskim<sup>47</sup> jest może najpiękniejszą doliną tatrzańską, zjeść obiad w dalekiej Leśniczówce Podbańskiej, zaprzepaszczonej wśród puszczy, obejść dokoła ogromny stóg Krywania<sup>48</sup> i zdążyć na noc do hotelu nad uroczym Jeziorem Szczyrbskim<sup>49</sup>, co gdyby nie okalające świerki, mogłoby w pewnych porach roku współzawodniczyć z jeziorami włoskimi.

Plan nasz wykonaliśmy w zupełności, chociaż Dr Blaufarb bynajmniej nie zachwycony przedziwnościami mijanych widoków, postękiwał jeszcze częściej, pocił się jeszcze obficie i kwiczał, jak wyrażał się niegrzecznie Staszek o jego biadaniach. Rozpogodził się dopiero w Leśniczówce, gdzie zjadł na swój koszt wcale niezły obiad, lecz zapewne przez zapomnienie pozostawił mi do zapłacenia butelkę soku malinowego, którą dla ochłody w dalszej drodze zabrał do swego plecaka.

Dzień był nieznośnie skwarny i znoyny. Musieliśmy często odpoczywać, bo Dr Blaufarb ogromnie osłabł, a nie godziło się pozostawić go samego na bezludnych porębach pod Krywaniem, jakkolwiek mógł delektować się tam malinami, co są może najlepsze w środkowej Europie. Tak przynajmniej nam się wydawało, gdy wypoczywaliśmy znużeni pod rozrośniętymi krzewami a do ust same cisnęły się nam jagody słodkie i pachnące. Berliński mędrzec w końcu tak osłabł, że musieliśmy z obu stron wziąć go pod ramiona. Gdy wreszcie stanęliśmy przed schodami hotelu nad Szczyrbskim Jeziorem, zdawało się, że upadnie na nie bez ducha.

Porażniał jednak, gdy usadowiliśmy go przy stole, na którym rączy kelner postawił przed nim bombę pieniającego się piwa.

---

<sup>46</sup> Newcyrka – jedna z odnóg Doliny Koprowej. Nazwa ta występuje w kilku odmianach, np. Niewcyrca, Niefcerka, Niekcyrka.

<sup>47</sup> Stawy Teriańskie, Terianske plesá – trzy stawy w Dolinie Niewcyrka: Niżni Teriański Staw, Wyżni Teriański Staw i Mały Teriański Stawek. Dwa pierwsze stawy są większe i często nazwa ograniczana jest tylko do nich.

<sup>48</sup> Krywań (2494 m n. p. m.) – szczyt w bocznej grani Tatr Wysokich, na Słowacji, między dolinami: Koprową, Niefcerką i Ważecką. Od XV w. ze stoków Krywania wydobywano m. in. antymonit i złoto.

<sup>49</sup> Szczyrbskie Jezioro, Štrbské Pleso – miejscowość i jezioro w Tatrach Wysokich.



– B i e r, j a, e n d l i c h B i e r!<sup>50</sup> – zamruczał uszczęśliwiony.

Pozostawiliśmy go rozmamanego piwnej lubości i poszliśmy szukać pomieszczenia dla siebie i dla niego. Nie przyszło to nam łatwo, gdyż główny gmach hotelu był już przepełniony letnikami, co pojeżdżali się z Węgier i z Austrii. Dopiero po długich tarapatach udało się nam uzyskać za drogie pieniądze dwie mizerne izdebki w drewnianym pawiloniku, co z dala od swego pysznego towarzysza przykucnął skromnie na skraju świerkowego lasu.

Wróciliśmy biegiem, gdyż jakkolwiek słońce jeszcze nie zaszło, pociemniało nagle, z rozpadlin górskich wściekle zadął wicher i zerwała się burza o takiej sile i wspaniałości, jakie widuje się tylko w wysokich górach. Ogłuszały nas gromy i oslepiały błyskawice. Wodą i ogniem rzygnęły upusty niebieskie. Żli, bo przemoczeni do nitki, ledwo zdołaliśmy się schronić na ogromną werandę hotelową, co już była zatłoczona publicznością bardzo mieszaną, wśród której obok eleganckich toalet i wypieszczonych twarzy widziało się grube, wytarzane ubiory turystyczne oraz spalone od wiatru i poczerniałe od słońca gęby taterników.

Z estrady rażno przygrywała cygańska muzyka. W rozhlukach gromów głuchły wiedeńskie walce i węgierskie czardasze. Nie bylibyśmy znaleźli dla siebie miejsca, gdybyśmy nie byli dojrzeli z daleka Dr Blaufarba. Siedział rozparty i błogo uśmiechnięty nad potężnym kotлетem, pękaty jak bomba z piwem, którym się rozkoszował.

Dla odróżnienia się od niego i dla zaspokojenia apetytu, co w górach bywa większym niż gdzie indziej, zamówiliśmy b e e f s t e a k i<sup>51</sup>. Roztrzaski gromów były takie głośnie, że niepodobna było rozmawiać. Obecni przycichli i jęli trwożnie spoglądać na siebie.

Właśnie częstowałem Staszka papierosem, gdy trzasnęło tak straszliwie, że chybnąłem się na krześle i zadygotały we mnie wnętrzności. Rzęsiste światła sali przybladły na jedno mgnienie w sinym ogniu błyskawicy. Coś z łoskotem zawaliło się za mną. Odwróciłem się i ujrzałem, że z rozdartej aż do posadzki ściany sypie się gruz i wypadają cegły. Dr Blaufarb wrzasnął nie-ludzkim głosem i pospołu ze swym krzesłem przewrócił się pod stół. Staszek zerwał się, aby mu przyjść z pomocą. W sali, co napełniła się płaczami i jękami, rozległy się różnojęzyczne krzyki: – Piorun uderzył! Pali się! Pali! – widziałem jak cyganie uciekali z estrady, rzucając w popłochu swe muzyczne narzędzia.

<sup>50</sup> Bier, ja, endlich Bier – (niem.) Piwo, tak, nareszcie piwo.

<sup>51</sup> beefsteaki – (ang.) befsztyki, wołowe steki.

Na szczęście alarm był niecałkiem prawdziwy. Piorun uderzył, ale pożaru nie wzniecił. Po sali jęli uwijać się lekarze, przywracając do przytomności omdlałe kobiety. Staszek wyciągnął spod stołu Dr Blaufarba. Był on odurzony i blady jak ściana, którą rozłupał piorun. Zaczem mój przewodnik chlusnął mu w twarz resztką jego własnego piwa. Mędrzec otworzył oczy, westchnął jak miech, kichnął, bo widocznie piwo dostało się mu do nozdrzy, i zerwał się nagle na równe nogi.

– Piwo! Moje piwo! – krzyknął. – Coś pan zrobił z moim piwem?

Pogniewał się sierdźście na niego i na mnie. Na mnie zapewne dlatego, że częstowałem go swoimi kotletami i zapłaciłem za niego butelkę soku malinowego. Oświadczył mi bardzo nadęty, że ma już dość tego okropnego kraju oraz niegościnnych ludzi i że skoro świt odjeżdża z najbliższej stacji, wprost do Berlina.

Elektryczność widocznie strzykała mu w nerwach, gdyż zrywał się w nocy i kilka razy wrzasnął przeraźliwie.

Nazajutrz przy pożegnaniu paradował uciesznie na szczudłach swego doktorsko-profesorskiego dostojęstwa. Śmialiśmy się mu w nos, lecz udawał, jakoby drwin naszych nie rozumiał. Obiecał obdarować nas fotografiami ze zdjęć, które robił po drodze. Było mi wielce obojętne, że obietnicy tej nie dotrzymał.

Wstrząs piorunu nam nie zaszkodził. Elektryczność rychło przestała czmerać w naszych organizmach. Rozkochaliśmy się w puszczy. Aby nią iść jak najdłużej, wybraliśmy drogę powrotną przez Dolinę Cichą<sup>52</sup>, co doprowadziła nas aż do Czerwonych Wierchów<sup>53</sup>, tuż nad Zakopanem. Towarzyrzyły nam pogwizdy świstaków kiedy była noc i gwiazdziste niebo mieliśmy nad sobą.

Przez cały czas byliśmy obaj rażni i weseli. Na pożegnanie uściskałem Staszka jak rodzonego brata. Nie miałem spieczonych ust i nie kłuło mnie między łopatkami. Gorączki przycichły i jakby ustały. Myśl moja zyskała na trzeźwości, moja wola na sile i stanowczości. Moje tęsknoty nie ustały, lecz przygasły. Wydawało się mi, że ozdrowiałem podwójnym ozdrowieniem. Byłem rad, że zerwałem z Panią Kazimierą lub przynajmniej tak bardzo powiększyłem przedział między nami, że niełatwo komuś z nas przyszłoby go prze-

---

<sup>52</sup> Cicha Dolina – najdłuższa dolina w Tatrach, Słowacja.

<sup>53</sup> Czerwone Wierchy – zespół czterech szczytów w głównej grani Tatr Zachodnich, na który składają się: Ciemniak (2096 m n.p.m.), Krzesanica (2123 m n.p.m.), Małołączniak (2096 m n. p. m.) i najniższa – Kopa Kondracka (2005 m n.p.m.).

kroczyć. – Kobiecie życia poświęcać nie warto. Powinna w nim być tylko epizodem – mówiłem sobie. Trzeba otrząsnąć się z sentymentalnych słabości, jeśli chce się mieć wolne ręce do wielkiego dzieła. Wciąż jeszcze marzyło się mi wielkie dzieło, wciąż jeszcze z mojego życia chciałem uczynić „poemat dla Boga”, jak gdzieś powiedział Słowacki<sup>54</sup>.

### XVIII.

Pogubiłem na wycieczce niejedno. Zgubiłem przede wszystkim demona ciężkości, co był długo utrapieniem mej duszy. Wróciła mi żółtodziobia, rozbrykana, rozswawolona lekkomyślność, której nauczycielem bywał mi Józek. Nie jest ona taką głupotą jakby się zdawało. Nie byłoby tylu niemitych, nudnych, zgryźliwych ludzi, gdyby było więcej lekkomyślności na świecie.

Ustroilem tedy swą głowę w lekkomyślność, jak w bluszczowy wieniec. Niestety, nie były moje bluszcze z tych, co trwają dłużej. Powiędły szybko i wraz powrócił demon ciężkości. Posmutniałem jak jesień, co się zaczynała. Byłem smutny za swój naród, za siebie samego, za Panią Kazimierę, za Józka. Młodość lubuje się w tym, co jest zbyt kowne. Pozwala sobie przeto na zbytek lekkomyślności i na zbytek smutku.

Nadaremnie przychodziły pocieszać mnie sarny, co tak się obłaskawiły, że lizały sól z moich dłoni. Nadaremnie rozweselały mnie wiewiórki, co skakały z drzew na moje barki i szukały w moich kieszeniach orzechów. Razem z lekkomyślnością odleciały ostatnie śpiewające ptaki. Byłem smutny. Byłem bardzo smutny!

Pograżałem się w rozmyślaniach bez końca. Coraz lepiej rozumiałem Józka. Kłamliwymi zeznaniami w mojej sprawie przeciw Przybyszewskiemu<sup>55</sup> nie tylko chciał się zemścić za swą siostrę, nie tylko pragnął wkupić

---

<sup>54</sup> Z *Beniowskiego, Pieśń Trzecia*:

„I to jest moja poetyczna droga;

Lecz z mego życia poemat – dla Boga”. (w. 343-344)

– cyt. za: J. S ł o w a c k i, *Dzieła wybrane*, t. II: *Poematy*, oprac. J. Krzyżanowski, Wrocław 1983.

<sup>55</sup> Chodzi o sąd honorowy, który rzeczywiście się odbył. Wyrzykowski oskarżony był o rozpowszechnianie opinii o rzekomej nieuczciwości Przybyszewskiego. Według relacji autora *Ver sacrum*, Józef Jasieński przyczynił się swoimi zeznaniami do wygranej Przybyszewskiego. Sąd nakazał Wyrzykowskiemu odwołać zarzuty na piśmie, postanowił także o wydrukowaniu

się w rozwiązałe łaski Pani Dagny, ale wziął na mnie także odwet za moją wyższość umysłową i moralną. Nie mógł mi darować, że bogaciej i barwniej odczuwałem, że głębiej i może wytworniej od niego pojmowałem życie. Takich rzeczy nie przebaczą ludzie.

Być jednak może, iż się myliłem. Może tylko pochlebiałem sobie. Byłem smutny, byłem bardzo smutny.

Tęsknotę, co jak upiór wypijała mi krew, tłumaczyłem popędem do doskonałości. Lecz czyż nie było w niej także chętki wywyższenia się nad innych? Byłem smutny, byłem bardzo smutny.

W najgłębszej skrytości marzyłem o wodzostwie duchowym narodu. Lecz czy dorastałem do niego uczuciem, zdolnościami, siłą woli, gotowością do ofiarnego czynu? Czy w tym marzeniu nie kryło się samolubstwo? O, luba megalomanijko, pociecho matołków i szczęśliwców, u których dokoła komórek piramidalnych kory mózgowej już płacze się *s p i r o c h e t e p a l l i d a*<sup>56</sup>, nikła, lecz straszliwa! Inni nie stawiali sobie zbyt górnych celów, poprzestawali na małym, a osiągnęli więcej ode mnie. Byłem smutny, byłem bardzo smutny!

Tak raz po raz odbywały się spowiedzi mojej młodości. Lata mijały, a mnie z nich nic nie pozostawało prócz piołunu w ustach i popiołu w dłoniach.

Od smutku się nie tyje. Znowu jadałem mniej, a pijałem więcej czarnej kawy. Mizerniałem i szczuplałem ku zmartwieniu mojej dobrej gaździnki, która brała się pod boki i gderała na mnie:

– Co panu jest? Czemu pan taki chuderlawy? A ja już myślałam, że przy mnie wyjdzie pan na ludzi.

Byłaś rozumna, dobra gaździnko, ale nie moim rozumem.

Bowiem z tęsknoty zaczęło mi tak ćwierkać i śpiewać w duszy, jak gdyby przed szarugami jesiennymi i mrozami zimowymi schroniły się do niej nie tylko wszystkie ptaszki śpiewające, lecz także wszyscy anieli niebiescy. I było mi dobrze, chociaż byłem smutny. Bywa dobrze nawet najsmutniejszemu człowiekowi, gdy mu śpiewa w duszy.

Jednakowoż tego nie rozumieją ani gaździnki ani gazdowie.

Nie zapytywałem ich ni siebie, co mi przyjdzie z mojego wewnętrznego roześpiewania. Wystarczała mi jego melancholijna błogość. Coraz lepiej

---

części wyroku na łamach „Życia”. Wyrok ukazał się jednak nie w „Życiu” a w styczniowym zeszytzie „Krytyki” w roku 1900.

<sup>56</sup> spirochete – (łac. spirochaeta) spirochety, krętki (bakterie) o kształcie spirali.

czułem się w samotności. Coraz więcej odsuwałem się od ludzi. Rozmawiałem się w pustelnicznym życiu. Wydawało się mi, że wszystkie namiętności zostawiłem za sobą.

Atoli czuwało we mnie przecucie. Przecucie powiadało, że niedługo potrwa moja samotnicza sielanka i się nie omyliło.

Już poczynały się czerwienić na reglach tatrzańskich buki, kiedy przyszedł do mnie góralczyk z listem, uskarżając się, że zmarnował niemal cały dzień, nim znalazł moją pustelnię. Spojrzałem na adres i poznałem nerwowe, niespokojne pismo Józka. Zawiadamiał mnie, że jest w Zakopanem, że leży chory i że prosi, abym w najbliższych dniach przyszedł do niego, uprzedzając go jednakże przez posłańca, kiedy ma się spodziewać moich odwiedzin. Ruszyłem ramionami, bo wywnioskowałem z ostatnich słów, że ma zamiar poczynić jakieś przygotowania na moje przyjęcie. Jużci, mogłem pójść do niego przez pamięć dawniejszej przyjaźni, lecz wcale nie życzyłem sobie być ugaszczanym przez niego. Myśl o jego siostrze jakoś nie przyszła mi do głowy, gdyż przypuszczałem, że już od dawna nie ma jej w Zakopanem. Zresztą zbyt pięknie śpiewało mi w duszy, abym miał się nią zajmować. Tak przynajmniej wmawiałem w siebie, dla zagłuszenia wspomnień.

Józek w swym liście nic nie nadmienił o swej chorobie. Jednak z pewnych dawniejszych spostrzeżeń domyśliłem się, jakiego była ona rodzaju. Wyobraziłem sobie, w jakiej żyć on musi męce i trwodze. Postanowiłem tedy dowieść mu raz jeszcze, że byłem dobrym przyjacielem i już nazajutrz wybrałem się do niego.

Szedłem powoli, rozglądając się z ciekawością dokoła, ponieważ od dawna przestałem jadać w Tatrzańskim Dworcu i bywać w środku Zakopanego.

Pora roku była już tak spóźniona, że letników i w ogóle przyjezdnych gości spotykałem bardzo niewiele. Na werandzie podówczas jedynej kawiarni, pogrążone w błogim *f a r n i e n t e*<sup>57</sup>, siedziało tylko miejscowe towarzystwo. Komicznie wyglądali zapóźnieni taternicy z bohatercko siarczystymi, od alkoholu rozczzerwienionymi twarzami. Musieli być niedaleko w górach, ale za to pić wiele. Nie znałem ich. Minąłem, nie potrzebując z nikim się witać ani nikomu się nie kłaniać.

Odszukałem z łatwością pawilon, w którym zamieszkał Józek. Znajdował się on na uboczu, w parku, wśród ogromnych, rozłożystych drzew, co odbierały światło jego oknom. Mroczny był zatem także pokój, w którym leżał chory.

---

<sup>57</sup> far niente – (wł.) próżnowanie.

By jeszcze więcej złagodzić ostrość jasności dziennej, miał on oczy przyśłonięte ogromnymi, czarnymi okularami.

Ujrawszy mnie, słabym ruchem wyciągnął do mnie rękę i powitał mnie jeszcze słabszym głosem.

Był bardzo zmieniony. Twarz mu się wydłużyła i pozapadała. Cerę miał ziemistą i niezdrową. Na skroniach poczynały się mu srebrzyć pasemka przedwczesnej siwizny. Głos także mu się zmienił. Utracił dawniejsze świegotliwe brzmienie i nabrał nieprzyjemnej chrypliwości.

Od razu zaczął się skarżyć:

– Jest źle ze mną – mówił. – Wzrok zatrwająco mi słabnie. Grozi mi ślepotą. Powiedzieli mi w Wiedniu, że może nastąpić zanik nerwu wzrokowego. Podleczyli mnie trochę. Ratowali, jak mogli. Cóż, kiedy po przyjeździe do Zakopanego zaraz wystąpiły z powrotem nieznośne bóle głowy i osobliwy bezwład w krzyżach.

Westchnął żałośnie.

– Ty wiesz, z czego... Ty się domyślasz... Musiałem wyjechać z Wiednia, bo mi zabrakło pieniędzy.

– I posłano cię do Zakopanego? – zagadnąłem. – Czy ono jest dla ciebie wskazane?

– Wcale nie, wcale nie... Mam tu jednak siostrę, która mnie wspomaga i pielęgnuje.

Dobrze, że niedowidział, bo drgnąłem i zmieniłem się na twarzy. A więc Pani Kazimiera nie wyjechała! To dziwne, że mogła pozostawać za domem tak długo. Zapewne tylko skutkiem choroby brata mąż ją wypuścił na dłużej ze złotej klatki.

Tymczasem Józek zwierzał się dalej:

– Bardzo mi przykro, że nie mogę żyć po dawnemu. Wyobraź sobie, że odkąd tu przyjechałem, jeszcze nie byłem przy t a b l e – d o c i e<sup>58</sup>. A podobno było tu mnóstwo ładnych kobiet!...

Znowu westchnął. Stał się bardzo skłonnym do westchnień.

– Już wszystkie się rozjechały – bajdurzył. – To szczęście, że nie jestem całkiem bez towarzystwa. Wciąż jeszcze bawi tu Przerwa. To luby człowiek. Ogromnie przyjaźni się ze mną i z Kazią. Wysoko ceni jej poetycki talent. Są ze sobą na ty, jak dobrzy koledzy.

---

<sup>58</sup> table d'hôte – (fr. dosł. stół gospodarza) *przestarz.* posiłki w hotelu, pensjonacie itp. podawane o ustalonych godzinach, po z góry oznaczonej cenie; stół, przy którym wspólnie jedzą wszyscy stołownicy.

Nie odzywałem się, aby z brzmienia mego głosu nie odgadł, co we mnie się działo. A więc dokonała wyboru!... Po moim liście był on co prawda nietrudny. Lecz jakież bezceremonialny, jak na mężatkę i matkę dwojga dzieci!

Mogła wejść lada chwila... Miałem prawie pewność, że zostałem wciągnięty w zasadzkę, abym poznał całą gorzkość swej odmowy. A Józek zgodził się być przynętą...

Milczałem i przygotowywałem się na spotkanie całym wysiłkiem woli.

– A czy długo jeszcze tu zostajecie? – aby coś powiedzieć, mruknąłem w końcu możliwie obojętnym głosem.

– Nie, nie długo – odpowiedział. – Zakopane wcale mi nie służy, a pieniądze są na wyczerpaniu. Jaka to szkoda, że tak wiele utraciłem na „Życiu”! Niebezpiecznie jest wdawać się z Przybyszewskim...

Nie chciałem go drażnić, więc nic nie napomknąłem o Pani Dagny.

Zaczem jakby chciał się podzielić najpoufniejszą nowiną, dodał z bladym i dwuznacznym uśmiechem:

– Przy tym Kazia musi wracać do domu, bo znowu oczekuje... Chociaż to jeszcze daleko...

Jakby mnie ktoś obuchem uderzył w głowę! Ale nie darmo długo się ćwiczyłem, aby zachowywać spokój i chłód, zwłaszcza w bardzo przykrych okolicznościach. Bynajmniej zatem nie straciłem równowagi, gdy do pokoju wpadła Pani Hosteńska. Była roześmiana, rozswawolona, roztrzępana. Ciągnęła Przerwę pod rękę za sobą.

Na mój wstrzemięźliwy ukłon zmarszczyła brwi i odpowiedziała rozmyślnie wymuszonym skinieniem głowy. Wyglądała raczej na bachantkę niż na wieszczkę.

W jej jakby wyuzdaniem rozdartych oczach, migotały cyniczne, mściwe błyski. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że zadawała przymus swej właściwej naturze i grała komedię.

Zakręciła się kilka razy tanecznym krokiem po pokoju, zanuciła coś niewyraźnie, po czym stanęła obok Przerwy, oparta o krawędź, co tam się znajdowała.

– Józek już od dawna chciał napisać z zaproszeniem do pana – zaczęła naigrawać się, patrząc chłodno mi w oczy – lecz mu odradzałam. Bo przecież nie godzi się zabierać czasu komuś, co odsunął się od ludzi, aby żyć dążeniem do doskonałości i tworzyć arcydzieła...

Byłem spokojny, lecz nie mogłem zebrać myśli. Nic nie odpowiedziałem.

– Pan zapewne zauważył – w ten sam sposób mówiła dalej – że wielu ludzi genialnych wzorem Chrystusa usuwało się w samotność, aby tam rozkoszować się wspaniałością swego ducha i dokonywać dzieła swojego posłannictwa. Przecież z pustynnej góry Synaj tablice przykazań przyniósł Mojżesz swemu ludowi. Przecież na pustyni stworzył Mahomet świętą księgę swej religii. W nadmorskim pustkowiu powstała „Genezis” Słowackiego i nawet Nietzsche odszedł w góry od ludzi i zwierząt, aby napisać swojego „Zarathustrę”.

Wcale niepospolicie było to pomyślane. Ale czy było jej własne?

– Było to jednak w dawniejszych, trądem wstecznicstwa zarażonych czasach – zaśmiała się szyderczo. – My młodzi, my arcynowocześni, inaczej pojmujemy twórczość. My mamy świadomość, że można, nie wyrzekając się towarzysztwa ludzkiego i rozkoszując się życiem, tworzyć piękne dzieła. Prawda Kiziu? – zwróciła pytająco swe spojrzenie ku Przerwie i przysunęła się bliżej do niego.

– Prawda, Kiziu – odparł niedbale, po czym objął ją wpół ruchem zaspokojonego w swych żądzach padyszacha<sup>59</sup>, rozgarnął jej włosy i pocałował ją w czoło.

Ścisnęło się mi serce. Po grzbiecie przebiegło mi lodowate mrowie. Czarne płatki poczęły mi latać przed oczyma. Wydobyłem papierośnicę i podałem ją Józkowi.

– Może zapalisz? – zagadnąłem.

– Nie, nie – żachnął się prawie ze strachem. – i proszę, żebyś tu także nie palił. Co by powiedziały na to moje oczy?

Nie nalegałem dłużej. Począłem go wypytywać, co myśli o dalszych studiach medycznych. Ledwie słyszałem jego odpowiedzi. Wstałem i na pożegnanie wyciągnąłem do niego rękę.

– Co, już? – zapytał. –Zostań jeszcze chwilę...

– Nie mogę. Zanadto chce mi się palić.

Nie jestem pewny, czy ukloniłem się na pożegnanie Kizi i Kiziowi. Wiem, że odszedłem spokojnym krokiem, z bezmyślnym uśmiechem na twarzy. Jak się zdaje, już się zmierzchało. Szumiało coś, jakby w gałęziach szamotał się wiatr. Zapewne poczynął padać deszcz, bo duże, dziwnie ciepłe krople uczułem na twarzy.

---

<sup>59</sup> padyszach – (tur. padiszah, z pers. padszah, dosł. opiekun – król) tytuł dawnych sułtanów tureckich, szachów perskich oraz od roku 1926 panujących władców Afganistanu; władca noszący ten tytuł.



Dlaczego ona poniewierała już nie tylko moją miłość, ale nawet moją wiarę w swe człowieczeństwo? Rozumiałem, że była to zemsta, lecz nie mogłem zrozumieć, dlaczego ta zemsta była aż tak podła...

Nie pomyliłem się, że był już wieczór. Przez oszklone drzwi niepozornej restauracyjki góralskiej blado migotało światło naftowej lampy. Wstąpiłem. Nie pijałem nigdy, lecz tym razem postanowiłem się upić.

– Niech mi pan da pół litra wódki, ale mocnej – rzekłem do statecznego gospodarza w cyfrowanych portkach.

– Czy może być koniak? – zagadnął.

– Niech będzie koniak, byle mocny.

Postawił przede mną butelkę, po czym niezbyt czystą ścierką z niezmierną starannością wytarł kieliszek, jak przystało dla cepra.

Zacząłem pić...

Błądziłem, wracając do swej chaty. Omal nie wpadłem do dunajcowej wody, kiedy przeprowiałem się przez kładkę. Srogo zgromiła mnie gaździnka, lecz mało sobie wziętem do serca jej gderanie.

Nazajutrz wyjechałem do Krakowa. Obmierzło mi powietrze co dotychczas swą czystością i świeżością mnie upajało. Obmierzły mi góry, obmierzły mi tęczujące na Reglach lasy, najwięcej zaś obmierzli mi ludzie. Nie mogłem dłużej żyć w bliskości Pani Hosteńskiej. Zdawało się mi, że wciąż słyszę gruchanie Kizi z Kiziem.